

TIM WEAVER

ZNIKNĘLI NA ZAWSZE

NIEKOMPETENTNA POLICJA I PRYWATNY DETEKTYW,
KTÓRY WIE, JAK TO SIĘ ROBI

ALBATROS

1

Noc zapadła szybko. Niebo przybrało żółtawą barwę tygodniowego siniaka, a potem słońce wyskoczyło zza chmur tak, jakby spadało, i zaczęło się chylić ku pustyni. Im było niżej, tym szybciej zmieniał się niebo, aż w końcu słońce całkiem zniknęło z widoku i nad Mojave pozostała jedynie rozmazana czerwona chmura, przypominająca plamę krwi.

Dwadzieścia minut później z ciemności wyłoniły się obrzeża miasta – na początek parterowa zabudowa satelickich miejscowości. W cieniach po obu stronach autostrady międzystanowej migotały światła latarni; kiedy piętnastka przedarła się przez Southern Highlands, ustąpiły jaśniejszej, stałej poświacie. Osiedla mieszkaniowe, centra handlowe i rozległe niezagospodarowane tereny, oświetlone billboardami oraz pomarańczowym blaskiem lamp sodowych, dalej zaś neony – kasyn, moteli i marnych knajp ciągnących się wzdłuż autostrady. W końcu, pożegnawszy się z międzystanową przy zjeździe 36, po raz pierwszy zobaczyłem Strip – olśniewające, monolityczne budowle wyrastające z płaskiej pustyni przywodziły na myśl wybuch supernowej.

Już pół kilometra przed wjazdem na parking Mandalay Bay wiedziałem, że ten hotel będzie o klasę lepszy od tego, w którym mieszkalem w Las Vegas poprzednio. Gdy przed

pięciu laty przyjechałem do tego miasta po raz pierwszy, rezerwacją zajęła się gazeta i w rezultacie musiałem gnić w szemranym kasynie dla ubogich zwanym The George. Jak się później dowiedziałem, w żargonie pracowników kasyn „George” oznacza gracza, który zostawia duże napiwki. Z tym tylko, że w The George hazard uprawiali wyłącznie bezdomni, którzy przy wystawionych od frontu stołach do blackjacka grali na minimalne stawki, czyli dwadzieścia pięć centów, próbując uciulać dość grosza, by starczyło na flaszkę czegoś mocniejszego. Tym razem, szukając miejsca dla wynajętego dodge’a stratusa na olbrzymim parkingu na dachu budynku, minąłem wysokie na osiem pięter reklamy transmisji telewizyjnej walki w formule MMA organizacji UFC, która miała się odbyć w tym hotelu w styczniu, i wiedziałem, że dobrze zrobiłem, samemu rezerwując nocleg – podczas ostatniego pobytu tutaj walki w pobliżu The George toczyli między sobą wyłącznie pijacy.

Przekręciłem kluczyk w stacyjce, a kiedy silnik oraz radio ucichły, do samochodu napłynęły odgłosy z autostrady Las Vegas – cichy, nieprzerwany szum przypominający pomruk nadchodzącej burzy. Dalej, niewidoczny na tle nieba, nie licząc błyskających z regularnością metronomu świateł na ogonie, jakiś samolot podchodził do lądowania na lotnisku McCarrana. Kiedy tak sobie siedziałem, ogarnęło mnie znajome uczucie – będąc przed pięciu laty w tym samym mieście, słuchałem tych samych odgłosów. Z tamtego wyjazdu zostało mi w pamięci wiele rzeczy, ale głównie zapamiętałem hałas i światła.

Pchnąłem drzwi dodge’a i wysiadłem.

Wieczór był chłodny, ale całkiem miły. Otworzyłem pilotem bagażnik, wyjąłem torbę podróżną, po czym ruszyłem przez parking. W hotelu panował nie mniejszy hałas, hurgot samochodów, samolotów i ekranów wideo zastąpiło nieustające *dzyń, dzyń, dzyń* jednorekich bandytów. Sta nałem

w kolejce do recepcji i obserwowałem klóćącą się parę młodych ludzi, niewiele po dwudziestce. Zanim dostałem kartę otwierającą drzwi mojego pokoju, byłem już spragniony ciszy – przynajmniej na ile to możliwe.

Wziąłem prysznic, przebrałem się, opróżniłem minibarek, a następnie zadzwoniłem do Derryn i zawiadomiłem ją, że dotarłem cały i zdrowy. Przez chwilę rozmawialiśmy. Początkowo trudno jej było przywyknąć do naszego nowego życia na Zachodnim Wybrzeżu – nie mieliśmy tu przyjaciół, ona była bez pracy, a sąsiedzi w naszym domu w Santa Monica tworzyli hermetycznie zamkniętą klikę. Stopniowo jednak sprawy przybrały lepszy obrót. W swoim kraju przez dziesięć lat pracowała jako pielęgniarka na ostrym dyżurze, zanim rzuciła to, by wyjechać ze mną do Stanów Zjednoczonych; w rezultacie została tymczasowo zatrudniona na bloku operacyjnym w szpitalu niedaleko naszego miejsca zamieszkania. Pobierała tylko krew i pomagała lekarzom zszywać rany – robota bez porównania spokojniejsza od tego, co robiła w Londynie, jednak Derryn ją uwielbiała. Dzięki niej wychodziła z domu, poznawała ludzi, trochę zarabiała, no i miała wolne weekendy, co pozwalało jej chodzić na plażę.

– Zamierzasz wydać wszystkie nasze pieniądze, Raker? – spytała po chwili.

– Nie dzisiaj. Może jutro.

– A ty w ogóle potrafisz grać w karty?

– Gram w wojnę.

Wiedziałem, że się uśmiechnęła.

– Chciałabym mieć czapkę niewidkę i popatrzeć, jak siadasz przy stole do blackjacka i udajesz, że wiesz, co robisz.

– Ale ja naprawdę wiem, co robię.

– Nie potrafisz nawet grać w Monopoly.

– Moja największa fanka znów podnosi mnie na duchu.

Parsknęła śmiechem.

– Następnym razem masz mnie wziąć ze sobą –

zapowiedziała.

– Dobrze.

– Marzę, żeby zobaczyć Vegas.

Odwrociłem się na łóżku i wyjrzałem przez okno. Zza szyby mrugały do mnie miliony świateł.

– Wiem – odparłem. – Kiedyś cię tu zabiorę, obiecuję.

□ □ □

O wpół do drugiej wciąż jeszcze nie spałem, chociaż sam nie rozumiem dlaczego. Poprzedniej nocy do czwartej nad ranem sporządzałem akta sprawy, byłem ugotowany po pięciu godzinach za kółkiem w drodze z Los Angeles, a mimo to nie mogłem zasnąć. W końcu zaprzestałem dalszych prób, ubrałem się i zszedłem na parter.

Gdy otworzyły się drzwi windy, odniosłem wrażenie, że czas się zatrzymał – hol, odgłosy automatów do gry, muzyka sącząca się z głośników... wszystko było dokładnie takie samo jak wtedy, gdy przyjechałem. Brakowało tylko wydzierającej się na siebie pary. Właśnie dlatego w kasynach nigdzie nie widać zegarów – dzień i noc wyglądają dokładnie tak samo, jakby zapadło się w letarg. Człowiek wchodzi i od razu jego wewnętrzny zegar się wyłącza. Znów spojrzałem na zegarek i stwierdziłem, że dochodzi druga – ale równie dobrze mogło być przedpołudnie. Dokoła szwendali się mężczyźni i kobiety w dresach i szortach, zupełnie jakby właśnie zeszli z kortu.

Ruszyłem do baru sąsiadującego z lobby. Nawet o pierwszej pięćdziesiąt w nocy miałem towarzystwa pod dostatkiem: małżeństwo dobrze po sześćdziesiątce, kobietę rozmawiającą w boksie przez komórkę, faceta pochylonego nad laptopem; przy jednym ze stolików grupa pięciu mężczyzn rechotała głośno z czegoś, co powiedział któryś z nich. Przysiadłem na stołku barowym, zamówiłem piwo i pogryzając orzeszki z miski, przejrzałem egzemplarz „Las Vegas Sun”, który ktoś

zostawił na barze. Artykuł na pierwszej stronie niemal słowo w słowo powtarzał tezy tekstu, których sprawdzenie właśnie mi zlecono: Las Vegas, miasto kuloodporne. W czasie gdy część analityków przewidywała na najbliższe dwanaście miesięcy głęboki kryzys, amerykańska stolica hazardu miała zarobić rekordowe osiem miliardów dolarów.

Może z dziesięć minut później, kiedy dotarłem do działu sportowego, obok mnie przy barze usiadł jakiś facet i zamówił następną kolejkę drinków. Spojrzałem na niego, on popatrzył na mnie, po czym wrócił do stołu z tacą pełną szklaneczek. Kilka sekund później pojawiło się mgliste wspomnienie i – próbując je uchwycić – doznałem olśnienia: ja go znałem. Odwróciłem się na stołku i obejrzałem przez ramię. Facet postawił tacę na stole... i również na mnie spojrzał. On też mnie znał! Obaj się zawahaliśmy, na chwilę zamarliśmy po dwóch stronach sali, aż nagle on także zaskoczył i wrócił do mnie z szerokim uśmiechem na twarzy.

– David?

Gdy tylko się odezwał, wspomnienie nabrało ostatecznych kształtów – Lee Wilkins. Razem dorastaliśmy, mieszkaliśmy w tej samej wsi, chodziliśmy do tej samej szkoły... i nie rozmawialiśmy ze sobą od czasu, gdy porzuciliśmy przed maturą tę samą szkołę. A teraz, blisko dwadzieścia lat później, był tutaj; inny niż go zapamiętałem, chociaż nie zmienił się aż tak bardzo. Parę kilogramów więcej na twarzy i w pasie, ogolona na łyso głowa, ciemna kilkudniowa szczecina na brodzie, ale poza tym był to ten sam facet: metr siedemdziesiąt osiem wzrostu, krępy, z blizną z lewej strony nosa po upadku z drzewa, na które się wspinaliśmy.

– Lee?

– Tak! – Na jego twarzy rozlał się jeszcze szerszy uśmiech; podaliśmy sobie ręce. – Jasna cholera – mówił dalej. – Na twój widok pomyślałem sobie: „Skądś go znam”, ale w życiu bym nie sądził...

– Jesteś tu na wakacjach? – wpadłem mu w słowo.
– Nie – odparł, sadowiąc się na stołku obok mnie. – Teraz tu mieszkam. W Stanach jestem od siedmiu lat, z czego dwa lata w Vegas.

– I czym się zajmujesz?

– Pamiętasz, że chciałem zostać aktorem?

– A owszem, pamiętam.

Zawahał się, uśmiechnął.

– No... no więc nie wypaliło.

– Aha.

– Nie, chodzi mi o to, że nie wyszło tak, jak się tego spodziewałem. Przez pierwsze pięć lat siedziałem w Los Angeles, próbując się załapać. Robiłem za kelnera i chodziłem na castingi. Od czasu do czasu trafiała się jakaś rólka, ale nic takiego, żebym mógł wpaść komuś w oko. A potem zacząłem zapowiadać kabareciarzy w klubie w zachodnim Hollywood, no i się porobiło. Tak się tam spodobałem, że sam stałem się gwoździem programu. Trwało to rok, a potem zaproponowali mi pracę tutaj, w Vegas, jako główny konferansjer w tym wielkim kabarecie obok Stripu. A kilka miesięcy temu jeszcze lepszą robotę naraił mi facet, który kręci rozrywką w hotelach MGM, więc teraz stale krążę... stąd pędzę do Luxoru, a potem do New Yorku, Mirage, Grandu, do każdego z nich. Dosyć to niesamowite.

– Rany, Lee, to nie z tej ziemi! Gratulacje.

– Chyba znalazłem się we właściwym miejscu o właściwym czasie.

– Albo po prostu jesteś dobry w tym, co robisz.

Wzruszył ramionami.

– Nie mogę uwierzyć, że cię widzę. Akurat tutaj – powiedział.

– Wiem.

– No a co ty porabiasz w Las Vegas?

– Pamiętasz, że chciałem zostać dziennikarzem?

- No.
- I mi się udało.
- To fantastycznie. Teraz też pracujesz?
- Ehe. – Rozejrzałem się. – A raczej pracuję od jutra.
- Mieszkasz tu na stałe?
- Nie, przyleciałem z Los Angeles na jedną noc.
- I co konkretnie robisz?
- Postukałem palcem w pierwszą stronę „Sun”.
- Piszę o forsie.
- Jesteś korespondentem czy coś w tym rodzaju? –

dopytywał się.

– Tylko do końca przyszłorocznych wyborów. Potem wracam do Londynu. Gazeta oszalała na punkcie Obamy i dlatego wysłali mnie tu tak wcześnie.

- Każdy będzie lepszy niż Bush, co?
- Pewnie okaże się w przyszłym roku.
- Jak to się stało, że cię ulokowali na Zachodnim Wybrzeżu?

– Kiedy mnie wysłali ostatnio, mieszkałem w Waszyngtonie, ale tym razem przyjechałem na dłużej. Dlatego spędzam sześć miesięcy w Los Angeles, żeby relacjonować kampanię z Kalifornii, a potem przeniosę się do Waszyngtonu i będę to opisywał z perspektywy Kapitolu. – Ruchem głowy wskazałem „Sun”. – Sęk w tym, że na tak wczesnym etapie chwilowo nie ma o czym pisać. Więc się zjawiłem tutaj, żeby uzasadnić to, że w ogóle żyję.

- Nieźle miejsce na spędzenie nocy.
- Trochę tu głośno.
- Roześmiał się.
- Nie da się ukryć.

Siedzieliśmy przy barze, zamawialiśmy kolejne piwa i gadaliśmy, nadrabiając te dziewiętnaście lat, odkąd opuściliśmy dom. Ja się wychowałem na farmie, na wzgórzach otaczających naszą wioskę, ale kiedy wyjechałem do

Londynu, rodzicom zaświtało, że w przewidywalnej przyszłości nie zamierzam przejąć prowadzenia gospodarstwa, więc zaczęli je stopniowo wyprzedawać, a pieniądze wpłacać na domek.

– A potem mama umarła – powiedziałem.

Lee poważnie przytaknął ruchem głowy.

Wzruszyłem ramionami.

– Od tamtej pory wszystko zaczęło się walić. Pomogłem ojcu sprzedać farmę i przeprowadzić się do wioski, ale odkąd został sam, zupełnie sobie nie radził.

– Jeszcze żyje?

– Nie. Umarł prawie dwa lata temu.

Od tamtej pory nie pojawiłem się już w domu.

Dalej rozmowa potoczyła się w weselszym nastroju. Lee opowiedział mi, że jego mama ponownie wyszła za mąż i mieszka teraz w Torquay, siostra jest nauczycielką, a on wciąż pozostaje w kawalerskim stanie i uwielbia to, chociaż mama chciałaby, żeby się ustatkował.

– Przyleciały do mnie na początku roku i przez trzy tygodnie mama w zasadzie dzień w dzień wypytywała mnie, kiedy się w końcu ożenię. – Wzniósł oczy do nieba, po czym spytał: – A ty od dawna jesteś mężem Diane? – Obalał już piątą butelkę piwa, więc wybaczyłem mu przejęzyczenie. Obaj byliśmy ciut zawiani: on wyprzedzał mnie o dwie butelki browaru, ja miałem za sobą brak snu.

– Derryn – sprostowałem.

– W mordę jeża. – Roześmiał się. – Sorki, Derryn.

Gwar w barze nieco osłabł, a mężczyźni, z którymi Lee pił wcześniej, zniknęli gdzieś w kasynie.

– W tym roku minie trzynaście lat – odparłem.

– Serio?

– No, to były dobre lata.

Pokiwał głową.

– Podziwiam cię, stary. I trochę ci zazdroszczę. – Znów

skinął głową, oderwał się od baru i poklepawszy mnie po plecach, skierował się do toalety.

I tyle go widziałem.

□ □ □

Wróciłem do „Las Vegas Sun” w miejscu, w którym przerwałem lekturę, ale po kilku minutach podniosłem wzrok znad gazety, spojrzałem w kierunku, gdzie oddalił się Lee, i zobaczyłem, że obok mnie stoi jakiś facet. Nie zauważyłem, jak podchodził. Stał przodem do baru, lecz głowę miał odwróconą w stronę gazety i czytał jeden z artykułów na pierwszej stronie. Po sekundzie zerknął na mnie i uświadomił sobie, że go przyłapałem.

– O, przepraszam – odezwał się. – To wyjątkowo niegrzeczne z mojej strony.

Anglik.

Spojrzałem nad jego ramieniem w kierunku toalet. Ani widu Lee. Gdy przeniosłem wzrok na nieznajomego, stał z przekrzywioną jak ptak głową i mi się przyglądał.

Pchnąłem gazetę w jego stronę.

– Proszę.

– Bardzo pan miły – odparł. – Dzięki.

– Nie ma sprawy.

Uśmiechnął się.

– Pan jest Anglikiem – zauważył.

– Ehe. Wygląda na to, że pan również.

Dobiegał pięćdziesiątki, był chudy i żyłasty, opalony i miał gładko ogoloną twarz. Uśmiechając się, zaprezentował zrobione zęby. Nienaturalnie wybielone, błyskały tak, jak to się widuje wyłącznie na Zachodnim Wybrzeżu. Nie przestając się uśmiechać, przysiadł na skraju jednego z barowych stołków.

– Co pana tu sprowadziło? – zapytał. – Praca?

– Tylko na dwa dni.

– No tak, wiedziałem, że nie wygląda pan na wieloryba.

Terminem „wieloryb” kasyna określają największych na świecie graczy. Facet był ubrany elegancko: w jasnoniebieską, rozpiętą pod szyją koszulę, czarną marynarkę, dżinsy i wypastowane na błysk półbuty z czarnej skóry. Zaczesane do tyłu włosy błyszczały w świetle.

– Przede wszystkim by pan tu nie siedział – powiedział.

– Gdybym był wielorybem?

– Właśnie. Żyłby pan na koszt kasyna... Dostałby pan darmowy przelot, darmowy apartament i darmowy wikt z restauracji. Nie musiałby pan siedzieć i popijać samotnie w barze. – Zdaje się, że nagle sobie uświadomił, co właśnie powiedział. – Przepraszam, źle to zabrzmiało, nie to miałem na myśli.

– Proszę się nie przejmować.

– Bo w końcu kto to mówi? Przecież ja też tu siedzę. – Parsknął śmiechem i niedbałym ruchem złożył gazetę. – Wie pan, ile wydają kasyna na gratisy dla dużych graczy?

Nachylił się w moją stronę.

– No ile? – ponaglił mnie.

– Nie mam bladego pojęcia – odparłem.

– Od trzech do pięciu tysięcy dolarów. A wie pan, ile ci sami duzi gracze zostawiają przy stołach? – Zniżył głos, jakby dzielił się ze mną jakąś pradawną tajemnicą. – Dwa razy tyle. Nikt nie wygrywa z kasynem. Wielcy hazardziści przyjeżdżają tu, dostają otwarte linie kredytowe, opłacone przez kasyno pokoje i posiłki z najdroższych lokali i liczą na to, że przechyłą szalę na swoją korzyść i kasyno przegra. Ale tutaj każda gra... każda gra w każdym kasynie w tym mieście... jest tak pomyślana, żeby zwiększyć szanse matematyczne kasyna.

Facet przesunął się na siedzeniu, jedną ręką podpierając się o stołek między nami, a drugą trzymając płasko na marmurowym blacie. Na dwóch pierwszych palcach tej dłoni

nie miał paznokci, zupełnie jakby mu je zerwano.

– Wie pan, co im to daje? – zapytał cicho.

– Niby co?

– Zwiększenie szans matematycznych.

Spojrzałem nad jego ramieniem. Lee nadal nigdzie nie było widać. Od jego wyjścia minęło już z pięć, sześć minut. Nie uzyskawszy odpowiedzi, facet przysunął się bliżej mnie, tak że jego palce znalazły się o kilka centymetrów od moich. Zerknąłem na brakujące paznokcie, po czym przeniosłem wzrok na jego twarz.

– To im daje przewagę – oświadczył.

W końcu zdjął drugą rękę ze stołka i położył na marmurze, jak gdyby czekając na obsługę. Barman ruszył ku nam z drugiej strony baru, lecz facet podchwycił jego wzrok i ledwo dostrzegalnie pokręcił głową, na co barman zatrzymał się raptownie, jak gdyby się zderzył z ciężarówką. Gdy znów spojrzałem na gościa obok mnie, zaszła w nim – wprawdzie subtelna – zmiana i pierś ścisnął mi przyływ niepokoju.

Trwaliśmy tak przez chwilę, w kakofonii *dzyń, dzyń, dzyń* jednorękich bandytów dookoła; nagle wstałem ze stołka, wyjąłem dwie dziesięciodolarówki i położyłem banknoty na ladzie dla barmana. Odwróciłem się do tego faceta. Był o jakieś dwanaście centymetrów niższy ode mnie, ale wcale nie czułem się przez to swobodniej w jego obecności.

– Idzie pan spać? – zapytał.

– Powiedzmy.

Chciałem go wyminąć, lecz nagle chwycił mnie za ramię i przyciągnął do siebie. Ścisnął mnie z siłą imadła. Potknąłem się, kompletnie wytrącony z równowagi. A wtedy zadziałał instynkt – rzuciłem się do tyłu i pchnąwszy go, oswobodziłem ramię.

– Człowieku, co ci odbiło? – warknąłem.

Poprawił się na stołku, z rękami płasko na kontuarze.

– Pozwól, że dam ci radę – powiedział.

– Nie, to ja dam radę tobie. Nigdy więcej nie waż się mnie dotknąć.

I chciałem odejść.

– Zawsze znajdzie się ktoś lepszy od ciebie, Davidzie! – zawołał za mną.

Zatrzymałem się i odwróciłem.

– Coś ty powiedział?

– Jak każdy, jesteś tylko człowiekiem.

– Skąd znasz moje imię?

Teraz było w nim coś groźnego, jakby jakimś cudem kompletnie zmienił wygląd. Jego oczy wydawały się ciemniejsze. Zadarł głowę niczym szykujące się do ataku zwierzę.

– Wracaj do domu, do żony – powiedział, mierzając mnie wzrokiem od stóp do głów. A potem nachylił się i zniżył głos do szeptu. – I zrób coś dla was obojga... Nie pakuj nosa w nasze interesy.

– Co takiego?! Przecież nawet cię nie znam.

– To prawda – przyznał. – Ale znasz Lee Wilkinsa.

Nadał świdrując mnie wzrokiem, kiwnął głową, a potem precyzyjnie przesunął się obok mnie i ruszył w głąb kasyna. Dwie sekundy później wmieszał się w tłum.

A po dziesięciu zniknął bez śladu.

2

Chłopiec biegł truchtem po kamienistej plaży, półtora metra od miejsca, gdzie fale rozbijały się o brzeg. Hałas był niesamowity – najpierw zwierzęcy pomruk, a po nim głęboki, przypominający burczenie brzucha grzmot, który przeszywał ciało malca. Zasysane z powrotem przez morze fale zbierały się do odwrotu, porywając ze sobą kamyki, a wtedy słychać było cichy gwar, jakby zza wysokiego na dwa i pół metra wału nadmorskiego nawoływały tysiące głosów. Po drugiej stronie wału leżała wioska – stare rybackie chaty, jeden pub, kilka sklepów i firm. Po tej stronie stały w szeregu wyciągnięte na brzeg łodzie; ich maszty klekotały na wietrze.

Chłopiec poprawił paski plecaka i usłyszał, jak w środku przesuwa się sprzęt: lina, nowy podbierak kupiony za to, co zarobił na rozwożeniu gazet, oraz trochę starego bekonu, który rano dostał od mamy. W jednej ręce niósł wiadro. Jak na początek listopada panował siarczysty mróz, ale to zawsze jest najlepszy okres na łowienie krabów. O tej porze roku nie ma turystów – a to oznaczało brak konkurentów do połowu.

Wioska leżała w niecce, a w stokach wzgórz po obu stronach morze wyciosało zatoczki. Chcąc się do nich dostać, należało przeleźć po skałach wyrastających z gruzowiska na dwóch krańcach plaży. Skały te, ociosane i wygładzone przez

nieustający napór fal, przywodziły chłopcu na myśl ogon smoka, którego cielsko spoczywało gdzieś pod wodą. Dalej, po drugiej stronie ogona, w wyźłobieniach i szczelinach plaży oraz skalnych zatoczkach, powstały setki sadzawek. Właśnie tam powinny być kraby – wyrzucone na brzeg, wypłute przez fale przypływu.

Chłopiec zaczął się wspinać.

Wiadro w ręku utrudniało mu zadanie. Przeważnie to tata dźwigał cały sprzęt, ale teraz pracował gdzieś daleko, a przed wyjazdem powiedział synowi, że jest już dostatecznie duży, ma prawie trzynaście lat, więc może pójść sam. *Tylko bądź ostrożny!*, powtarzał mu stale. Rozbryzgi fal i deszcz nie ułatwiały sprawy, ale chłopcu szło całkiem dobrze: po pięciu minutach stał już na szczycie ogona i spoglądał na pierwszą zatoczkę, położoną jakieś dwadzieścia metrów pod nim – wąskie pasemko kamieni, biegnące od linii brzegowej do miejsca, gdzie cofnięte od wody zbocza wzgórz przechodziły w stromiznę. Poza tym były tam tylko sadzawki w skałach, zalewane falami, tak że w rozpadlinach i szczelinach buzowały bąbelki piany. Chłopiec ruszył w dół. Stukał trzymanym w ręku wiaderkiem o skały i nie odrywał wzroku od podłoża, uważając, gdzie stawia stopy. Szarpnął nim podmuch wyjącego wiatru, i następny, ale gdy zeskoczył ostatni metr na kamienie i schował się pod osłoną zatoczki, wichura ucichła natychmiast. Teraz słyszał jedynie fale rozbryzgujące się na brzegu za jego plecami.

Postawił wiadro na kamieniach, zdjął plecak, otworzył go i wyjął sprzęt. Linkę na kraby. Podbierak z krótką rączką. Przynętę. Przymocował przynętę do linki, wziął sieć i wiadro, po czym ruszył w kierunku skał z drugiej strony zatoczki. *Tylko bądź ostrożny!* Stawiał kroki równie uważnie jak poprzednio, bo wołał uniknąć konieczności tłumaczenia tacie, jak to się stało, że przerwał linę, skaleczył się albo zrobił jedno i drugie. Będąc w połowie drogi, usłyszał za

sobą kolejny rozbryzg; morze grzmiało jeszcze głośniej i dłużej niż przedtem. Obejrzawszy się, zobaczył sunącą na niego falę. Nie martwił się, że zmoknie, tylko o to, że może się przewrócić, więc wyciągnął rękę i złapał za wąski skalny występ. Woda zalała go prawie po kolana, tak że stał w przemoczonych butach i spodniach, i wygładziła teren przed nim. Kiedy zaczęła się cofać, spojrzał na plecak i upewnił się, że tkwi bezpiecznie w wysokim zagłębieniu, gdzie go umieścił po wyjęciu sprzętu. Ruszył do skalnych sadzawek z tyłu zatoczki, tak daleko, by fale nie mogły go dosięgnąć. Tam mógł zarzucić linę do sadzawki, bez obawy, że znów przemoknie. Przyptyw skończył się przed godziną. Fale, choć głośne i zajadłe, stopniowo się jednak cofały. Za godzinę całkiem osłabną. A po kolejnej godzinie w ogóle nie będzie się nimi przejmował.

Postawił wiadro obok siebie, upewnił się, że przynęta jest zaczepiona jak należy, po czym usiadł obok najgłębszej skalnej sadzawki. Głębokiej na jakieś półtora metra. Zarzucił linkę, wysuwając ją ze skrzynki, którą tata zrobił dla niego. Przypominała kołowrotek z małą rączką z boku, dzięki której mógł zwinać linkę z powrotem. Trzymając skrzynkę lewą ręką, popuszczał linkę między wskazującym i środkowym palcem prawej dłoni, by wyczuć nawet najlżejszy ruch, gdyby krab chwycił przynętę.

Nagle coś zauważył.

Wyglądało to tak, jakby ktoś zostawił trochę przynęty – siedem metrów od niego, na samym końcu zatoczki, między ostatnią skalną sadzawką a stromym wzniesieniem wzgórza. Przesunął się na skale, chcąc mieć lepszy widok, ale widział jedynie białą ochłap mięsa. Pewnie kurczak, a może wieprzowina. Tata zawsze powtarzał, że najlepszy jest bekon, jednak chłopiec złowił mnóstwo krabów na kawałki starego kurczaka. Dobre były też tłuste ryby, choć nie tak dobre jak mięso. Ogólnie rzecz biorąc, kraby nie należą do wybrednych

smakoszy.

Omiatając wzrokiem zatoczkę, chłopiec uświadomił sobie, że przynęty jest jeszcze więcej, trzydzieści centymetrów po lewej od tej pierwszej, na skraju jego pola widzenia. Odstawił bezpiecznie skrzynkę z linką do rozpadliny, z której nie mogła się wysunąć, i wstał. Powierzchnia kamieni dzielących go od przynęty była śliska od morskiej wody. Ostrożnie zrobił dwa kroki, a potem usiadł na pupie i w ten sposób przejechał w dół resztę drogi. Z bliska zauważył, że przynęta jest opakowana w folię – taką jak ta, w której przyniósł bekon – i że jest dłuższa, niż mu się zdawało: opadała do rynny, prawie niewidoczna w cieniu. Pod folią zobaczył równo pocięte kawałki mięsa; do każdego – a to ci dopiero! – była przymocowana identyczna muszelka.

Wyciągnął rękę.

Nagle się zawahał.

Spoglądał to na rękę – wciąż wiszącą nad opakowaniem z plastikowej folii – to na mięso w środku; przenosił wzrok tam i z powrotem, jak gdyby coś mu przyszło do głowy, ale sam jeszcze nie widział co.

Nagle, sekundę później, doznał olśnienia.

Z jego gardła wydarł się jęk, gdy na czworakach cofał się byle dalej od przynęty. Szukał na skałach punktu oparcia dla nóg, lecz jego stopy wciąż się ślizgały, podeszwy butów nie trzymały się podłoża.

– Tato! – krzyknął odruchowo, mimo że jego ojciec był w pracy, wiele kilometrów stamtąd, a on przebywał tu całkiem sam. – Tato! – wrzasnął po raz drugi. Oczy zaszczyły mu łzami, gdy desperacko próbował odczołgać się do miejsca, gdzie zostawił linkę.

Dotarł tam trzydzieści sekund później, ale nie zatrzymał się, by wziąć linkę. Nie zatrzymał się po przynętę ani po wiadro, ani nawet po plecak. Wgramolił się tylko na skały, przelazł na drugą stronę smoczego ogona, a potem co sił w

nogach popędził po kamieniach do swojego domu na końcu wału nadmorskiego. Mama krzątała się po kuchni, szykując ciasta na urodziny jego siostry. Kiedy spojrzała na chłopca, na łzy i paniczny strach w jego szeroko otwartych oczach, złapała go, posadziła obok siebie i skłoniła, żeby opowiedział jej, co zobaczył.

Więc powiedział jej, że te muszelki to były paznokcie.

Paski mięsa były palcami.

A przynętą była dłoń.